

JEJ ŻYCIE

Tej autorki:

ZAKAZANE GRY
NIGDY DOŚĆ
BORDEAUX, PIĄTA RANO

MALWINA
KOWSZEWICZ

JEJ ŻYCIE

Jej życie

Copyright © by Malwina Kowszewicz, 2021

Redakcja: Jola Kaszkur

Korekta: Katarzyna Szulejewska

Zdjęcie na okładce: © Christina Kapongo

Retusz: Lacrin Studio

Makijaż: Estrella Elorduy

Projekt okładki: Karolina Żmijewska

ISBN 978-83-963154-0-3

Przygotowanie do druku i druk: drukujzsensem.pl

drukuj*sensem*.pl

Wydawca: Malwina Kowszewicz

Warszawa, 2021

*Mamie, która nauczyła mnie kochać
i mężczyźnie, któremu dam te miłość.*

Kiedyś chciałam więcej, dalej, wyżej, głębiej, mądrzej, coraz szybciej, coraz drożej... Nic z tego, co posiadam, nie wzbogaciło mnie naprawdę. Tylko ułatwiło życie, a jednocześnie częściowo je zabrało. Bo o jakim życiu mówimy? O tym, które miało zapewnić dostatek, poprzez materialne symbole dać innym złudzenie, że osiągnęło się odpowiednią pozycję, choć przecież nie przyniosło to przekonania, że stworzyło się coś wartościowego. To za mało na życie, które przemija – myślałam każdego dnia.

ON

– Tato!

Ileż można krzyczeć? Czy te dzieci nigdy się nie męczą? Schowałem się do łóżka w nadziei, że mnie tu nie znajdą, że spokojnie będę mógł pograć na iPadzie, posłuchać muzyki, ponudzić się, nie robić nic. Zawsze kiedy tak właśnie chcę (to znaczy zawsze tak chcę), to właśnie wtedy nie mogę. Jestem potrzebny jak strażak przy pożarze, a przecież nie tak miało być. Nie ja miałem gasić te wszystkie pożary. To całe macierzyństwo – przereklamowana sprawa, kolejna zachcianka mojej żony. I teraz potykam się o różowe skarpetki, spinki noszone w kieszeni wbijają mi się w pupę, korki wnoszą piach do auta. Godziny tracę na boisku do futbolu. Zabiera mi to połowę mojego cennego czasu i wciąż słyszę, że to za mało. A ona?

Moja żona. No właśnie, gdzie ona właściwie jest? Dlaczego nie idzie do dzieci? Przecież ją wołają...

– Tato!

ONA

Czuję się, jakbym płynęła z prądem, jak martwa ryba. Ja z prądem! Tylko nie to! Od kilku lat tkwię w tym samym punkcie, wierząc, że coś się zmieni. Ale jednocześnie nie robię nic, by to zmienić. Co się stało? Kiedy się tak zatraciłam? Dlaczego? Wciąż łudziłam się, że jest miłość między mną a NIM, przecież ona nie odchodzi od tak, trzeba uchylić jej okno, otworzyć drzwi, wypuścić z rąk...

Jednocześnie z każdym nowym dniem czułam, jak zaciska mi się pętla na szyi. Przy nim traciłam powietrze, traciłam grunt pod nogami. Traciłam siebie. Muszę coś zmienić, dać duży krok naprzód, myślałam. Nie mogę się bać. Inaczej rozpadnę się na kawałki, ja i mój cały świat, a przecież nie mogę. Mam dzieci. Tylko dzieci i siebie.

Patrzę w dal na swoje życie, na możliwości, jakie miałam. Na decyzje, jakie podjęłam. Pamiętam, gdy mając dwadzieścia lat, spytałam moją mamę, czy czegoś żałuje. Powiedziała mi wtedy, że mnóstwa rzeczy. „Jak można żyć żałując?” – dziwiłam się. Dziś widzę, ilu ja rzeczy żałuję...

ON

Ona... kiedyś moja miłość. Dziś matka moich dzieci. I to by było na jej temat tyle. Brzmi może okrutnie, ale czy życie takie nie jest? Dlaczego miałbym być inny? Żeby się przypodobać? A po co? Jestem prosty jak każdy facet, niektórzy tylko udają lepszych, bardziej skomplikowanych, czułych... Też kiedyś to robiłem. Dlaczego? Bo zależy nam na tym samym. Czy kobiety nigdy nie zrozumieją, że facet jest prosty? Mówi

komplementy, kupuje prezenty, kwiaty, gdy czegoś chce. My dobrze wiemy, kiedy kobieta pragnie coś usłyszeć. Kiedyś też jej mówiłem, że jest piękna, szczupła... dziś milczę lub mówię wprost „staruszko”. No co... postarzała się. Kiedyś była jak znikający punkt. Podniecało mnie to, ale czy to lubiłem? Nie, nigdy! Brak logicznego myślenia. Była jak jej matka. Anarchistka. Udawałem przez lata sympatię do niej, bo wiedziałem, że jak będę ją lubił, moja pozycja w oczach jej córki wzrośnie. Proste, nie?

Dlaczego tak mi na niej zależało? Bo byłem próżny, a ona piękna, miła w dotyku, ludzie się nią zachwycali. Chciałem, żeby była moja, żeby przez to podziwiali też mnie. Ona była wyzwaniem, byle kto do niej nie podchodził. Szła przez życie stanowczym krokiem. Gdy patrzyła, potrafiła dotrzeć do wnętrza, gdy się uśmiechała, paraliżowała. I dlatego inni mężczyźni chowali głowę w piasek, uciekali, myśląc, że ONA nie jest dla nich. Mieli rację. Była dla mnie. Oni woleli żyć normalnie, szaro, cicho. Z nią się tak nie dało. Za nią trzeba było biec, domyślać się, czego chce. Nie wolno było zostawiać, trzeba było być opiekuńczym, czułym... Oni do tego nie dorośli. A ja?

Kiedyś rozbudzała we mnie ogień, była nieprzewidywalna, w ciągłym biegu. A teraz chodzi i marudzi, że wszystko robi sama, że jej nie pomagam, że mógłbym poczytać dzieciom przed snem, zabrać na rower, na plac zabaw, dać buzi na dobranoc. Zarabiam przecież na dom. To jej nie wystarczy?

Pamiętam nasze początki. Nieprzespane noce, rozmowy do rana, seks, smsy gdy spałem. „Ja nie śpię, bo nie spotkałam mężczyzny, przy którym mogłabym spokojnie zasnąć, byli tylko tacy przy których i anioł nie śpi”, pisała.

Znałem ją dobrze. Rozgryzłem bardzo szybko. Wiedziałem, jaki miałem być, by jej nie stracić. Była nieobliczalna i szalona, ale prosta w obsłudze. Spytałem ją, czy nie musi rano wstać, odpisała, że ona nie, ale że ja na pewno, bo moje buty już na to czekają.

Była urocza, cała emanowała wdziękiem.

Kochałem w niej absolutnie wszystko – to, w jaki sposób patrzyła na świat, jak potrafiła gonić wiatr, tańczyć na łące. Była dla mnie wyzwaniem.

Dziś już ją mam, zdobyłem, jest moją codziennością. Czy codzienność może podniecać?

ONA

Patrzę w lustro i co widzę? Trzydziestopięcioletnią kobietę. Wciąż piękną, ale smutną. Gdzie ta radość? Kiedy sobie poszła? Dlaczego jej nie zatrzymałam?! Nie zauważyłam nawet, gdy odchodziła. Jeszcze niedawno byłam taka szczęśliwa, unosiłam się nad całą stertą beznadziejnych spraw, czułam się lekka jak piórko, miałam niespokojną duszę, wszędzie i zawsze chciałam być. Ryzykowałam, żyłam szybko, gdy czegoś chciałam to całą sobą, natychmiast!!! Liczyło się tylko to, czego pragnęłam najmocniej...

Gdy się zakochałam, a rzadko mi się to zdarzało, chciałam z NIM już wszystkiego. Bez znaczenia, gdzie, kiedy i jak. Bez opamiętania, bez zastanowienia. A przecież wystarczyłoby się tylko zatrzymać, uważniej przyjrzeć.

To był maj, leciałam na służbowe spotkanie do Madrytu. Pech chciał, że ON też postanowił lecieć tym samym samolotem. Wracał do domu. Podszedł do mnie i spytał, jak mam na imię. Banalne, nie? Mruknęłam, że nieważne, bo i tak spotkaliśmy się nie w porę. Złapał mnie władczo za rękę, przyciągnął do siebie i szepnął – „każda pora jest dobra, żeby się spotkać. Udowodnię ci to”. I co było dalej? Po sześciu miesiącach wzięłam z nim ślub. Nie zdążyłam mu się nawet dokładnie przyjrzeć. Był kolorowy jak ptak, przystojny jak Bruce Willis, dawał nadzieję na aromatyczną poranną kawę i radość. Oddałam mu swoje serce i duszę, jakbym oddawała komuś zniszczone kapcie. Czasami takie zdarzenia poprzedzone są zaręczynami,

ale ja zbyt szybko żyłam, żeby zawracać sobie głowę czasochłonnymi głupstwami.

Wzięłam ślub w sprinterskim stylu.

Niektórzy nazywają to miłością od pierwszego wejrzenia. Inni brakiem rozumu. Jeszcze inni totalną lekkomyślnością.

I jeśli chodzi o mnie – wszyscy mają rację.

Zrobiłabym dla niego wszystko. I wszystko zrobiłam. Zmieniłam kraj, zrezygnowałam z pracy, którą uwielbiałam. Nic nie zapowiadało tego, co nastąpiło później, ale prawdę mówiąc, ten koniec dał się przewidzieć już wtedy, gdy stałam naprzeciwko niego w kościele, nie mogąc wypowiedzieć słów przysięgi, tej samej, którą przez lata powtarzają zakochane i wpatrzone w siebie pary. Nie tworzyliśmy jednej z nich? A ile ich było? Ile przetrwało? Gdzieś skrycie wierzyłam, że nam będzie dane być razem na zawsze i wchodziłam w ten związek mocniej i głębiej. Angażowałam się, jakbym była na misji dyplomatycznej. Suwerenność! Jaka ja byłam wtedy suwerenna! Co za pomysł, żeby w środku mroźnej zimy przysięgać sobie miłość!!! Stałam wtedy z odkrytymi ramionami w zimnym kościele, na zewnątrz szalała wichura śnieżna. Patrzyłam w jego zielone oczy i nie mogłam wypowiedzieć słowa. Gdyby nie ksiądz, który złapał mnie za rękę i szepnął do ucha, że będę powtarzała przysięgę tak długo, aż powiem, uciekłabym z tego miejsca. Przecież go kochałam, widziałam już nasz dom pełen dzieci, psów i zieleni. Szkoda, że tylko ja.

Dziś dobrze wiem, że wszystko co ON mi mówił kiedyś, to było to, co chciałam usłyszeć – tak, dokładnie mi to powiedział. „Chcesz dom, dzieci, psa? Dobrze, wszystko będziemy mieć, wszystko czego pragniesz”. Kłamał. Chciał mieć mnie i płacił pięknymi słowami, w które ja tak naiwnie wierzyłam. Zaufałam mu, po kilku miesiącach spakowałam się, wynajęłam mieszkanie i pojechałam do słonecznej Italii. Liczył się tylko ON. Mój mąż. Walczyłam o nasz związek każdego dnia. Nie było łatwo. On to facet z ogromnym bagażem na plecach,